



Senzacyjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył

A. S.

9

Ciąg dalszy nastąpi.

— A dokąd pójdą wasza miłość? — zapytał wieśniak.

— Cierpliwości, mój stary! noc jeszcze. musisz przeczekać, a potem dowiesz się o wszystkim. Prowadź nas tymczasem do izby!

Wieśniak ruszył przodem, a za nim szedł Włodzimierz z swoimi czterema towarzyszami. Wózni- ca został przy koniach, które wraz z saniami umieścił w otwartej szopie. W tej samej izbie, w której Włodzimierz leżał czas jakiś bez duszy, przybyli pozrzucać futra. Teraz dopiero można było zobaczyć ich żandarmskie mundury, szable i rewolwery. Jeden tylko Włodzimierz ubrany był po cywilnemu.

Z wypiekami gorączkowymi na twarzy, niepe- wny o los biednej Wiery, siadł na ławie za sto- łem — i zaczął naradzać się z swoimi towarzy- szami.

— Musimy się przygotować do ciężkiej walki — mówił półgłosem — kto wie, czy zbrodniarze nie zabarykadowali się w gospodzie i czy nie zechcą stawić nam oporu, na kule odpowiadać kulami!... Weźmiecie karabiny, ukryte w saniach i za chwilę ruszymy. Ja wam pokażę drogę, nie potrzebujemy więc brać stąd żadnego przewodnika...

— A jednak byłoby to o wiele bezpieczniej! — odezwał się jeden z żandarmów. — Tutejsi ludzie muszą znać na pamięć okolice, podczas gdy my możemy zabiłdzić!...

— Mimo to ja sam spróbuję doprowadzić was do gospody — rzekł szorstko Włodzimierz — ja tu nikomu, z wyjątkiem mojego gospodarza, nie wierzę! Parobek, który nas będzie prowadził, od- razu pozna, dokąd zdążamy. Może uciec i za fla- szkę wódki uprzedzić zbrodniarzy o naszych za- miarach. Lepiej więc spuścić się na swoje własne siły...

Żandarmi przyznali słuszność temu zapatrywa- niu i po półgodzinnym spoczynku, pociągnawszy trochę wódki z manierek, wyszli wraz z Włodzi- mierzem na podwórko i skierowali się ku szopie. Po chwili, uzbrojeni w karabiny i ślepe latarki, stanęli w szeregu.

— Naprzód! — zakomenderował Włodzimierz i żwawym krokiem ruszył z miejsca. Za nim w nie- wielkich odstępach ruszyli żandarmi. Brama fol- warku zamknęła się cicho za ostatnim żandarmem i stary wieśniak, potrząsając głową, powrócił do izby. Jego żona, drżąca i zapłakana, wsunęła się za nim i z trwogą pytała, czego tu chcieli żan- darmi i dlaczego nikomu nie było wolno wchodzić do izby, w której się naradzali.

Stary wieśniak wzruszył ramionami. On sam dobrze nie wiedział, o co chodziło żandarmom, choć musiał domyślać się czegoś, bo gdy żona ponowiła pytanie, odpowiedział półgłosem:

— Nie wiem. Ale kto wie, czy oni nie polują na Wasylu Lubasza i tego zbója Iwana Trepo- wa!...

Tymczasem żandarmi stanęli na skraju lasu. Włodzimierz, mimo śnieżycy, szedł pewnym krokiem. Pamiętał dobrze tę drogę, którą niedawno przebył

z takim wysiłkiem, ścigany przez Iwana, w ciągłej trwodze, aby nie dosięgnęła go kula zbrodniarza.

— Tędy, koło tego krzaka! — szepnął i szedł śmiało przodem. a żandarmi postępowali za nim w głębokim milczeniu. Wiedzieli oni dobrze, że chodzi tu o aresztowanie dwóch nader niebezpie- cznych złoczyńców, ale nie domyślali się nawet, że ci złoczyńcy ukrywają się w gospodzie na pustko- wiu, nie mieli pojęcia, jakim sposobem mordowali oni swoje ofiary... Włodzimierz ani słówkiem nie wspomniął im o tem.

Już pół godziny posuwali się lasem w głuchem milczeniu. Czasami Włodzimierz stawał i dawał znak. Wówczas błyskało światło ślepej latarki. Detektyw oryentował się w położeniu drzew i szedł dalej. Według jego obliczenia szli dobrze i nie byli już daleko od gospody.

I znów upłynęło pół godziny, a oni szli bez przestanku. Dreszcz przeszedł Włodzimierza; zda- wało mu się już, że zmylił drogę, gdy w tem zdała wśród drzew ujrzał małe światełko. Odetchnął peł- ną pierśią, stanął i dał znak żandarmom. Ci po- spieszyli ku niemu.

— Stoimy już przed gospodą! — szepnął — jeszcze tych kilka krzaków i już jesteśmy na po- lance, a teraz...

Więcej gestami niż szeptem wydał rozkazy. Dwóch żandarmów odłączyło się i każdy w innej stronie znikł wśród gęstwiny. Włodzimierz dobrze postanowił pilnować, żeby mu zbrodniarze nie u- ciekli. Rozstawiwszy rezerwowe posterunki, sam z pozostałymi dwoma żandarmami powoli zaczął skradać się ku gospodzie.

Wyszedłszy na polankę, zatrzymali się. W go- spodzie była cisza, ale przez przysłonięte okna wi- dać było światło. Widocznie mieszkańcy nie spali. Ale czy czuwają? czy istotnie zabarykadowali się i teraz z ukrycia przyjmą napastników kulami?

Włodzimierz namyślał się chwilę. Najlepiej by- łooby obejść gospodę i z boku podejść cichaczem pod bramę. Po chwili jednak powziął inne postano- wienie.

Szepnął parę słów towarzyszom i sam ruszył wprost do bramy gospody. Żandarmi postępowali za nim w pewnym oddaleniu, a gdy Włodzimierz stanął przed bramą, jeden przygnał do ściany z prawej, a drugi z lewej strony...

Detektyw nadłuchiwał chwilę, potem sięgnął ręką do kieszeni, a przekonawszy się, że ma w niej rewolwer, zaczął pięścią walić w drzwi szynku.

Wewnątrz rozległ się dziki okrzyk. Włodzi- mierz drgnął. Poznał głos starego Lubasza.

Dzika trwoga ogarnęła Włodzimierza. Dlaczego nie posłyszał głosu Wiery, lub krzyku tego Iwana? Czy może, zanim zdążył tu przybyć, rozegrała się już między mieszkańcami krwawa tragedia, której ofiarą padła biedna dziewczyna?...

W tej samej chwili doleciały go z wnętrza go- spody ciężkie kroki; ktoś zbliżał się ku bramie, a równocześnie w izbie szynkowej rozległ się srebrny głosik Wiery:

— Kto tam? co tam? — odezwał się drżący głos Lubasza.

— Otworzyć! — odpowiedział krótko Włodzi- mierz.

I znów nastała cisza. Młody detektyw wyobra- żał sobie scenę, jaka teraz rozgrywała się za

drzwiami. Jeżeli Wasyl poznał głos jego, to pe- wnie z trwogi ruszyć się teraz nie może i oparty o bramę z osłupiałym wzrokiem — drży na myśl o szubienicy. Ale gdzie jest Wiera? co ona robi? Przecież ona powinna się domyślać, kto stoi przed gospodą! A co ona musiała przecierpieć do tej chwili? Pewnie Iwan, wróciwszy z pościgu, chwa- lił się tem, że jego kule dosięgnęły Włodzimierza. Czy uwierzyła mu, czy nie, to stan takiej niepe- wności musiał ją srodze przygnębić. Bo jeśli Wło- dzimierz zginął naprawdę, to i ona straciła na- dzieję, że uwolni się kiedyś od natrętnego zbro- dniarza... a jeśli Włodzimierzowi udało się uciec, to powróci, ale z żandarmami i wtedy jej ojca czeka straszna śmierć na haku!... Jakież męki mu- siała znosić biedna dziewczyna?!

Włodzimierz ocknął się z zadumy i znów za- czął dobijać się do bramy.

— Radzę wam otworzyć, bo drzwi wywalę! — zawołał — otworzyć! Wzywam was do tego w imie- niu jego imperatorskiej mości!...

Zabrzmiął zgrzyt odsuwanych rygli i klucz obrócił się w zamku. Włodzimierz kopnął silnie drzwi i jednym skokiem znalazł się w sieni, gdzie stał Wasyl Lubasz błąd, drżący, patrząc błędnym wzrokiem na przybyłego.

— Wasza miłość — jękał się starzec — czego wy chcecie odemnie?

— Znacie mnie chyba dobrze, Wasylu Lubasz! — rzekł groźnie Włodzimierz, spoglądając w stronę szynkowni, gdzie w progu, oparta o futrynę, chwia- ła się pobladła ze strachu Wiera, która na widok Włodzimierza zasłoniła twarz rękoma i wybuchła cichym płaczem, czując, że wszystko skończone, że dla jej ojca niema już ratunku.

Wasyl Lubasz próbował się bronić.

— Znam was wasza miłość?!... A może widzia- łem was kiedy w Petersburgu! Ale czego wy chce- cie odemnie?!...

Za bramą rozległ się cichy szmer, przypomina- jący stapanie. Lubasz drgnął i już chciał się co- fnąć, gdy Włodzimierz gwizdnął przeciągle i ró- wnocześnie uchwycił go za bary.

— Aresztuję cię, morderco Borysa Jaroszyna! — krzyknął — poddaj się bez oporu!...

Starzec z dzikim, przeraźliwym krzykiem rzu- cił się na detektywa, lecz równocześnie przez bra- mę wpadło dwóch żandarmów i jak w żelazne kle- szcze pochwycili go w swe ramiona. Wywiązała się straszna walka. Wściekłość i rozpacz zdwoiły siły Lubasza; bronił się jak szalony, kopał, kasał ręce żandarmów, ale i im nie brakowało sił wca- le. Po chwili Lubasz leżał już na ziemi. Jeden z żandarmów klęczał mu na piersiach, gdy tym- czasem drugi, dobywszy mocnego łańcucha, kuł mu ręce i nogi.

Włodzimierz z pobladłą twarzą przypatrywał się tej scenie, a potem rzucił okiem do szynkowni. Wiera, padłszy na ławę, łkała głośno, ukrywając twarz w dłoniach, żeby uniknąć tego strasznego widoku. Młody detektyw uczył dziwny ból w ser- cu. Postąpił parę kroków i już chciał podejść do dziewczęcia, żeby mu szepnąć choć parę słów po- ciechy, gdy w komórcie, przylegającej do szynko- wni, rozległ się piekielny hałas, trzask łamanych drzwi i dzikie przekleństwa. Włodzimierz rzucił okiem na żandarmów, a widząc, że skończyli już